Nr. 48. We Lwowie dnia 27. Listopada 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Widzenie.

Zrodzonemu w kajdanach moskiewskiej niewoli,
Nad sierocą kołyską brzęczących ponuro,
Niepodległość zabłysła monarszą purpurą:
Świt wolności Ojczyzny wzrok dojrzał sokoli..,

Zaszumiały na drzewach ogromne sztandary,
Biały orzeł szybował po niebie czerwonem,
Krwią męczeńską szlachetnych mych braci zbroczonem,
Przelaną w obronie Ojczyzny i wiary...

Za nim Pogoń tętniała, a złote kopyta
Błyskawice krzesały z opoki granitu,
W potępieńczym nieładzie śród psiego skowytu
Czarna armja moskali pierzchała rozbita...

Pierzchały czarne pułki moskiewskich szatanów,
Przepadając w otchłani straszliwej Gehenny,
Odzyskanej wolności Archanioł promienny
Z mieczem stanął na straży pól naszych i łanów...

Na oblicze buchały mu łuny i ognie,
Ogromnemi skrzydłami i mieczem z płomieni
Chronił nasze granice przed najściem szerszeni
Z wytrwałością żelazną, co już się nie pognie...

Wolną była nareszcie Ojczyzna ma droga,
Z brzękiem ze mnie opadły skrwawione kajdany,
Wynędzniały niewolą i łzami zalany,
Wdzięczne ulgi westchnienie posłałem do Boga...

Podchorąży.

W ROCZNICĘ.

Karol Różycki: Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej 1831 r. Z przedmową Adama Mickiewicza (z portretem Autora) Kraków 1898 r. str. 40 in 8⁰

Bezimienny wydawca świeżo ogłosił po raz drugi*) wyżej wymienione dziełko, a czyn ów może mu być poczytany za prawdziwie obywatelską zasługę. Pamiętnik powstańczego pułkownika, nie wielki co do ilości stronic, wywiera podniosłością wypowiadanych w nim uczuć i myśli niesłychane wrażenie na czytelnika i należy do typu książek, które — wedle słów Mickiewicza — pokochać można, jak żywego człowieka, jak przyjaciela. Ma on podwójne znaczenie, jako dokument historyczny i jako dokument ludzki: powiadamia o działaniach wojennych pułku jazdy wołyńskiej, daje poznać duszę piszącego — duszę ognistą, męską, prostą.

Co do formy literackiej Pamiętnik jest opowieścią. Po walce, brutalnie, zdradziecko przerwanej, gdy pogasły ognie obozowe, a rdza jęła przejadać groty lanc, wódz przypomina towarzyszom broni własne ich dzieje, fakty, których byli współtwórcami. A nam, dalekim słuchaczom, którym te czasy, tak niedawne, wydają się legendową jakąś epopeją rycerską, daje nadto poznać ówczesny nastrój społeczeństwa w „kraju zabranym“.

„Wiadomość o rewolucji narodowej w prowincjach, nazwanych Królestwem Polskiem —

*) Pierwsze wydanie wyszło w Bourges, we Francji, 1832 roku.

mówi — przyjęliśmy na Wołyniu z taką radością, jakiej doznaje na widok matki, obudzonej z letargu, dziecko, które się już miało za osierocone. Odwiedzaliśmy się wzajemnie w domach naszych, a wzrok każdego przy pierwszem spotkaniu się był obrazem uczuć, jakiemi serca napełnione były. Nadzieja wskrzeszenia Ojczyzny, praw narodowych i wolności, jaśniała na licach młodzieży. Starce nasi zdawali się odzyskiwać zdrowie, a kobiety nasze złorzeczyły swojej płci i siłom".

Krótkie, szybkie pociągnięcia pendzla, żołnierską kierowanego ręką, a jaki portret zbiorowej duszy ludzkiej! I prawdziwy. „Wielki malarz nie może kłamać".

Lesisty Wołyń, kędy błękitna Ikwa toczy fale, opłynął nagle płomieniem wysokich uczuć. Rozpoczęły się „nocne rodaków rozmowy", rozpoczęły działania tajemne. Różycki pod pozorem wyrobku leśnego ściąga do siebie fabrykantów leśnych, zawołanych strzelców, którzy — jak mówi — nie mniej od niego kochali Polskę, i organizuje ich. Koło niego też skupia się młodzież, późniejsza jazda wołyńska i powierza mu naczelnictwo nad sobą. „Nie odmawiałem wam mojego towarzystwa, towarzystwa mówię, bo mnie znacie i wierzycie zapewne, że oprócz szczęścia kraju, innych żądań nie miałem. Interes własny w tej epoce czarniejszą był zbrodnią nad wszystkie inne, a miłość własna o tyle tylko przebaczana, o ile przez nią przewyższaliśmy innych w poświęceniu siebie. Zostawiałem żonę i pięcioro dzieci, a krwawe ukazy tyrana, wydane w tym właśnie czasie, wszystkie podobne sieroty z domów przeznaczały na Sybir. — Podły mąż, stokroć podlejszy człowiek, któryby takiemi ofiarami dopuścił się kupować jakiekolwiek widoki dla siebie na ziemi! — Ojczyzna sama tylko do nich ma prawo, przy Jej tylko ołtarzu, te drogie sercu mojemu istoty zostawiałem. Taką mieliście rękojmię mojej bezinteresowności; ze śmiałością pytam was, czyście w czynnościach moich ją wyśledzili?"

Znowu obraz — tym razem jednostkowych tylko uczuć, — ale mniej-że piękny, — mniej wzruszający?

Po daremnem wyczekiwaniu rozkazów od Rządu Narodowego w Warszawie, Wołyń na własną zaczyna działać rękę Oddział Różyckiego miał wyjść w pole z bronią w ręku 15. kwietnia. Zbrodniczy, a może lekkomyślny tylko rozkaz Chruścikowskiego, odwołujący powstanie w sam dzień terminu, kiedy już wielu było skompromitowanych, wtrącił jednych do więzienia, zachwiał odwagą innych. To też w lasach żytomierskich w dzień ponownie oznaczony, 7-go maja, zamiast wyrachowanych 480 koni, stanęło 130. „Ubolewaliśmy nad tymi, którzy zostali ujęci, a mało odważnymi pogardziliśmy" — robi uwagę Różycki.

Z garstką, uzbrojoną przeważnie w lance jedynie o grotach, przekutych z zębów bronowych, bohaterski pułkownik wyruszył w drogę do Królestwa, dla połączenia się z wojskiem narodowem!

Marsz trwał cztery przeszło tygodnie. Oddział, rosnąc po drodze w siłę, niby lawina górska, zrobił sto trzydzieście mil krętej drogi, wśród obozów wojsk ciemięzcy i — znaczył swój pochód zwycięstwami. Pod wsią Mołoczkami powstańcy znieśli oddział moskiewski, a 230 karabinów, tyleż ładownic z ładunkami i pałaszami, oraz bębny były jego zdobyczą wojenną. W przechodzie, za Ulchą, rozbroił konwój, eskortujący armaty i moździerze kościelne i kilka wozów tych narzędzi zatopił w Słuczy nie mogąc ich zabrać ze sobą. Pod Ostrogiem zabrał transport prochów, prowadzony do armji moskiewskiej, z których 49 wozów zatopił w stawie ...ilkijowskim. W leśnej pozycji, u wejścia do wsi Tyszycy, oddział liczący już wówczas trzy szwadrony, zniósł kawalerję rosyjską pod komendą pułkownika Petersa, które to zwycięstwo dało mu 78 koni zdobycznych, 120 karabinów, kilkadziesiąt pałaszy i pistoletów. Za Bugiem już, w drodze z Chełma do Uchań, powstańcy śmiałą napaścią nocną zdobyli obóz, należący do kurpusu jen. Rydigera, i wzięli w niewolę pułkownika i stu trzynastu strzelców konnych Siwierskich.

Był to ostatni czyn samodzielny oddziału Różyckiego. Wcielony do wojska narodowego, wystąpił na linję bojową wraz z innymi korpusami i działał wspólnie z nimi, odnosząc zwycięstwa, które — wedle Mochnackiego — kształty nawet karłom powstania nadawały olbrzymów...

„Tak zszedł czas znojów miłych, czas nadziei i szczęścia! — mówi Różycki — przeminął on, jak gody, wesoło, beśmy trwogi nie znali!"

Potem przyszły zawody, klęski, — w końcu tułactwo. Pułkownik jazdy wołyńskiej nie ugiął się pod ciosami wrogiego losu, nie dał przystępu do swej duszy rozpaczy ani zwątpieniu. „My smutni — wyznaje towarzyszom — ale — dodaje natychmiast tyran zwycięstwa nie ma — koszt na kupny tryumf swój wyrabia on z fortun naszych. — Tysiące naszych braci katuszy jego uległo, ukuł kajdany na dzieci nasze; ale miłość kraju, ale nadzieje bytu naszego wyrwie chyba z każdem z osobna sercem".

Takim językiem przemawia wiara, — wiara w grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie i żywot wieczny... *M. Wysłouchowa.*

Syn Majora.

(Studjum z natury.)

Dalszy ciąg.

W domu mówił wprawdzie po polsku, ale narzeczem, któregoby sam kardynał Mezzofanti nie zrozumiał, co obok niewesołej miało tę komiczną stronę, iż haniebnie przekręconym z rosyjska wyrazom nadawał czysto mazurskie zacięcie.

Oprócz gazet rosyjskich miewał wprawdzie polskie książki w domu, w gorliwej jednak ostrożności otaczał je tajemnicą najciemniejszych skrytek; przypadkiem tylko natrafić było można na którą w miejscu widocznem, w saloniku lub w jadalni zabłąkaną. Również — to taka jest stale natura człowieka, iż nie potrafi doszczętnie wyprzeć się tego, w czem życie ojców i jego własne dzieciństwo upłynęło — ilekroć zaszła mowa w poufnem kółku o naszych książkach, o naszych pamiątkach, pan Major głos zniżywszy, wtrącał także swoje uwagi; a czynił to zawsze z przejęciem się, ze czcią i nabożeństwem, jakby dotykał świętości gdzieś daleko na wysokościach świecącej, niemniej bóstwem prawowitem będącej. Inna rzecz, jeśli poruszono choćby najostrożniej kwestję naszą polityczną; tu pan Major odrazu przeskakiwał ponad nią do porządku dziennego i wszelkie odezwy w tym względzie były zupełnie bezużyteczne.

Na służbie pan Major odznaczał się wzorową gorliwością; mniejszą dozę bystrości umysłowej zastępowało szczęśliwie wierne, bezapelacyjne przejęcie się ważnością otrzymanych wskazówek. Gorliwość w tym względzie rozciągał na najszerszą skalę. „W lewo zwrot, prawe ramię naprzód!“ były tak dobrze drogowskazami jego na mustrze, jak etyka wojskowa w życiu społecznem i towarzyskiem. Był pozatem dobrym towarzyszem. W wojnie 78-go roku pamiętają koledzy jego usłużność i pomoc w każdej potrzebie. Pod Plewną niańczył jak najtroskliwsza piastunka rannego przyjaciela i towarzysza broni, i nie odstąpił go, póki na własnych rękach nie przyjął uchodzącego jego ducha i marne, okaleczone członki biednego Litwina w dalekiej tureckiej ziemi złożył.

Wróciwszy z wojny w randze majora, kiedy pojechał w odwiedziny do krewnych w Brześciu, spotkał się tam z młodą, biedną nauczycielką i w bardzo krótkim czasie zakochał się — w jej muzyce. Grała dużo, ładnie, z wielkiem uczuciem, miała niebieskie, czułe oczy; Major słuchał gry, patrzał w oczy i niedługo myśląc, oświadczył się o jej rękę. Pobrali się szczęśliwie. Losy chciały, że wybrana jego była Litwinką. „Co mi się stało, co mi się stało, że poszłam za koroniarza!“ — mówiła we dwadzieścia lat później pani Majorowa.

Pomyłkę wszakże swego wyboru zamanifestowała znacznie wcześniej — mianowicie, kiedy w parę dni po ślubie pełen szczęścia małżonek zawiózł ją do swego pułku, stojącego w małej litewskiej mieścinie. Wprowadził ją tryumfalnie do domu, przedstawił dwóch na zawołanie ordynansów, dał przegląd najstaranniej dobranych sprzętów gospodarskich i bufetowych. „Oto masz, duszo moja, — to wszystko twoje, to twoje królestwo!“ I zacierał ręce, czując nabiegającą do oczu łzę rozrzewnienia.

Pani Majorowa jednak inaczej tę rzecz przyjęła. „Jakto? te rondle, te szklanki, ten głupi samowar — to wszystko ma do mnie należeć? Po cóż mi to? Cóż ja z tem mam zrobić?“ I zdało jej się, że zakuto ją nagle, niewzruszenie i raz na zawsze między miedź kuchenną i fajans bufetu, a cudny świat czarodziejskich tonów i rojeń dziewiczych zniknął na wieki z jej życia. Trzy dni i trzy noce płakała, wylewając nieprzebrane łez potoki, nie wychodząc ze swego pokoju. W głębi zaś serca pocieszała się słabą nadzieją, iż pan Major zniecierpliwi się i z domu ją wypędzi.

Nie zniecierpliwił się jednak i z domu nie wypędził. A tylko na trzeci dzień uczepił u guzików munduru serwetę, rozlał w talerze zupę, pokrajał pieczeń i ucałowawszy ręce małżonki, do stołu ją zaprowadził. Pani Majorowa otarła z łez oczy. Odtąd nie widziano już innego trybu życia w ich domu.

Sfera rosyjskiego oficerstwa, jakkolwiek nie prowadzili otwartego domu, nie pozostała bez wpływu na sposób ich życia. Pani Majorowa nauczyła się przytem nałogowo palić, ubierać się jaskrawo i do litewskiej wymowy bardziej jeszcze, niż mąż przyniosła rosyjskie słowa i zwroty. Stało się to mianowicie wówczas, kiedy Major powiózł żonę do rodziny w Królestwie. Matka, szwagierki, bratowe, nacieszyć się dość nie mogły manierami i mową prowincjonalnej damy wojskowej, co ambitną kobietę rozdrażniło do ostatecznych granic i odtąd poprzysięgła wieczystą nienawiść całej Koronie i wszystkim koroniarzom, z mężem na czele. Po powrocie do domu spostrzegł biedny pan Major, iż między nim i żoną wzniósł się niezdobyty szaniec, stokroć straszniejszy, niż to było pod Plewną.

W domu pani Majorowa miała świat swój własny, z daleka się trzymający od spraw, trosk i zajęć pana Majora. Muzyka, własna jej osoba, sześcioro piesków, kot kulawy, kanarek

w klatce i kawka, skrzecząca na drzwiach od kuchni wypełniały wszystkie jej myśli i pochłaniały czas cały; lecz słońcem tego świata i punktem jego dośrodkowym był ukochany nad wszystko jej pierworodny Jaś.

Chłopak był ładny, pojętny, wypieszczony, podobny do niej umysłowo i fizycznie, z tą w tym ostatnim względzie różnicą, iż gdy pani Majorowa była szczupłą i drobną, dzieciak rósł niepomiernie, obiecując dojść z czasem do najwyższej litewskiej sążnistości.

Bawiło ją to z razu niepomiernie, a później napełniło wielką dumą i miłość jej do dziecka zdawała się rość jeszcze. Pomimo bezgranicznego przywiązania jednak nie zajmowała się się niem zbytnio; Jaś, gdy wzrastał, zrozumiał rychło, iż rola jego w ich stosunku ma się stać odwrotną, on jej bardziej matkować będzie, niż ona jemu, co też wkrótce, obok pielęgnowania własnej osoby, uskuteczniać począł, lub właściwiej, dawał się wraz z nią rozpieszczać niestrudzonemu panu Majorowi.

W takiej to rodzinie przyszedł na świat Józek Zaliwski. Dziecko to, gdy się urodziło, było słabe, szpetne, uderzająco do ojca podobne, nikłe tylko i drobne, obdarzone wyraźnemi śladami choroby, nieszczęsnej po dawnych przodkach spuścizny.

Co za różnica z jasnowłosym, różowym Jasiem, już wówczas sześcioletnim rozkosznym malcem, który tak ciekawie szafirowe swoje oczęta zwracał na pomarszczoną i skrzywioną twarzyczkę tego nieoczekiwanego brata! Pani Majorowa ze ściśniętem sercem i pewnym rodzajem zupełnie mimowolnego wstrętu oddała chorego dzieciaka na ręce starej niańki, jej niegdyś jeszcze piastunki, która od urodzenia Jasia wiernie zostawała w ich domu.

Józek powoli wyrastał, pełzał, uczył się chodzić i mówić jakoś niespostrzeżenie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Czasem p. Major wróciwszy wieczorem z pracy, brał chłopca na ręce i niespodziewanego dokonywał odkrycia:

— Patrz, Marysiu, a toć on wyrósł! A jak się nadstawia, niby porucznik na smotrze!

— Do ciebie podobny — odpowiadała półgłosem pani Majorowa, tak uważnie przyglądając się drzemiącemu na krześle kotowi, iż trudno byłoby określić, jakie mianowicie porównanie miała na myśli.

Innym razem pan Major zadziwił się niemniej, gdy Józek, wdrapawszy się mu na kolana, począł wykręcać błyszczące guziki jego munduru.

— Patrz, patrz, Marysiu — wołał znowu, śmiejąc się dobrodusznie — ten malczugan już tak krzepki, że gotów oczyścić mnie ze wszystkich guzików! Ach ty, służywcze, a nie wiesz, iż jest to dobro kazionne, nie wiesz, co?

W lat kilka potem pan Major, spoglądając z ukosa na Józka, jak mu się kręci pod ręką około tacy ze szklankami, ozwał się znowu do żony:

— Moja Maryś, jabym myślał, że trzeba byłoby do abecadła go zasadzić.

— A pewnie — odrzekła matka — zamiast, co wiecznie drzemiesz nad gazetą, mógłbyś dziecku litery pokazać.

Odtąd pan Major zamiast drzemać w krześle nad gazetą począł wieczorami uczyć Józka alfabetu.

Trwało to z miesiąc blisko. Pan Major potniał, rzucał się na krześle, ściskał pięści, głosem komenderującego przed frontem — wykrzykiwał litery nad głową dziecka, to naprzemian prosił, gładził włoski, obiecywał wszystkich ołowianych żołnierzy, jakich chłopak widział kiedy w sklepach — a Józek siedział nieruchomo, między a i b najmniejszego stosunku dopatrzeć nie mógł i w ogóle nie rozumiał, czego od niego chciano; zasępiał więc tylko twarzyczkę, wydymał szerokie wargi i coraz nieufniej spoglądał na szare, wynoszone brzegi abecadła.

Wreszcie jednego wieczora pani Majorowa z gestem najwyższej niecierpliwości odsunęła od siebie tytoń i papierosy i zawołała do męża:

— Przestańże raz męczyć dziecko! Wszak ono przy takiej nauce nic nigdy zrozumieć nie potrafi.

I Józek przeszedł na naukę do matki — o ile w tych studjach nie przeszkadzały kaprysy Jasia, wielkie wypadki w psiej rodzinie, śmierć kanarka lub częsta choroba samego Józka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wanda Dalecka.

LILI.

ŻAŁOŚNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy).

Olkowski był nieprzytomny i w chwilach częstych paroksyzmów wołał tylko Szalkowskiej, wyznawał jej miłość, skarżył się, błagał, żebrał, modlił się do niej, recytował nieprzytomnie całe ustępy ról miłosnych i wypowiadał je tak znakomicie, tyle wkładał w nie łzawego uczucia i bólu, że zakonnica, siedząca przy nim, płakała ze wzruszenia i wciąż modliła się za niego.

Nikt go nie odwiedzał, bo wszyscy zajęci byli szykowaniem się do przedstawienia i próbami, na które chodził i Zakrzewski, ale się

z nikim nie witał i role swoje markował, nie spojrzawszy ani razu na Lili, z którą grał; nie widział nawet, że dziewczyna wyglądała, jakby się szykowała do trumny, że się poruszała bezsilnie, że ją zjadało cierpienie, że była taka znękana, biedna, nieszczęśliwa, iż całe towarzystwo otaczało ją najczulszą opieką i współczuciem.

Mówił sobie, że go już nic nie obchodzi, zupełnie nic, że przecież jutro, zaraz po przedstawieniu, wyjedzie z tego świata zgnilizny i niech przepadają wszyscy marnie, niech i ona przepadnie, komedjantka...

Tak wmawiał w siebie, ale pomimo wszystko ta cudna twarz wżarła mu się w pamięć serca, widział ją ciągle przed sobą i chwilami tak strasznie tęsknił, że w nocy po kilka godzin wystawał przed jej mieszkaniem i patrzył w okno; że chodził temi ulicami, któremi razem przechodzili: że szukał i odnajdywał wszędzie jej ślady; że kilka kartek, pisanych jej niewprawną, dziecinną ręką, oblewał łzami miłości, zjadał pocałunkami.

W dniu przedstawienia sprzedał wszystko, co mógł sprzedać, aby mieć pieniądze na wyjazd, a że próby tego dnia nie było, bo całe towarzystwo zajmowało się przerabianiem hotelowej stajni na salę teatralną, chodził po mieście bez celu, krążąc wciąż w okolicach mieszkania Lili.

W tej wędrówce spotkał Szalkowską.

Przystąpiła do niego, pomimo, że ją bez ukłonu wymijał.

— Muszę z panem pomówić, mam ważny interes — powiedziała poważnie.

— A ja nie mam do pani żadnego interesu — odpowiedział niechętnie i chciał iść, ale wsunęła mu rękę pod ramię i nie puściła.

— Niech pan nie robi skandalu na ulicy, bo pełno ludzi -- patrzą.

Nie odezwał się i pozwolił się zaprowadzić do jej mieszkania.

W palcie, z kapeluszem na głowie stanął na środku pokoju i rzekł:

—Słucham! Proszę mówić prędko, bo czasu nie mam.

Odpowiedziała zamknięciem drzwi na klucz, wesołym śmiechem i rzuceniem mu się na szyję.

Całując go, robiła wymówki, skarżyła się zamatowanym miłością głosem, że wtedy czekała na niego napróżno, że tak bardzo, tak bardzo cierpiała...

Odpowiadał jej pogardliwie z początku, pocałunków nie oddawał, a nawet twarz lekko odsuwał i chciał koniecznie iść.

Przyniosła jakiś mocny likier i zmusiła do picia z jednego kieliszka, a potem zniknęła na chwilę i przyszła przebrana w wspaniały szlafroczek *empire*, w którym wyglądała porywająco.

O zmroku dopiero wyszedł, ale był tak wściekły na siebie, że, spotkawszy Felusia z Szalkowskim, od którego odwrócił się pomieszany, pominął ich; Felusia zaprosił potem na wódkę do jakiegoś szynku i wręcz mu tam powiedział:

— Spoliczkuj mnie pan, powiedz mi, że jestem ostatnie bydlę, że jestem głupiec największy z głupców, proszę pana, powiedz mi to, bo chcę się otrzeźwić.

— Tak... dawno i bez zachęty myślałem o panu podobnie; ale zresztą możesz się pan utopić, nie przeszkodzę, tak! — odpowiadał spokojnie.

Zakrzewski istotnie oprzytomniał, wyszedł z szynku, zamówił miejsce w karetce pocztowej i poszedł na przedstawienie.

Z pogardą przyglądał się wielkiej stajni, przemienionej na salę teatralną. Wielka murowana obora bez sufitu, o nagich odartych i zaplugawionych ścianach, o dachu, przez który prześwitywały gwiazdy, zmieniła się do niepoznania. Szereg mocno ściśniętych świerków wkopano nad ścianą od ulicy, zakrywając ją tym sposobem zielonemi gałęziami, ubarwionemi w wielu miejscach flagami, z drugiej strony w trzech czwartych szerokości stajni stała również gęsta, zielona ściana świerków i zakrywała zupełnie rząd koni, stojących za nią, które co chwila parskały i biły kopytami w podłogę. Chińskie latarnie z różnokolorowego papieru, porozwieszane na gałęziach, oświetlały słabo, ale mieniły się, jak różnobarwne motyle.

Korniszon ze starym żydkiem, afiszerem, ustawiał krzesła w rzędy i co chwila biegł odpędzać z przed bramy masy chłopaków, którzy ustawicznie do niej szturmowali kamieniami i każde jego ukazanie się przyjmowali wyciem i gwizdaniem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TAJEMNICA.

Franciszek Mamai, stary grajek, który od czasu do czasu przychodził do mnie na pogawędkę, jednego wieczora, popijając grzane wino opowiadał mi dramat, odgrywający się przed dwudziestu laty w wiosce, gdzie stał mój młyn. Opowiadanie poczciwca było wzruszające, zatem sprobuję powtórzyć je wam tak, jak słyszałem.

Kraj nasz, mój dobry panie, mówił grajek, nie zawsze był takim martwym bez rozgłosu pustkowiem, jak dzisiaj. Dawniej kwitł tu piękny handel mączany; fermerzy z folwarków okolicznych o dziesięć mil odległych zwozili nam zboże do mielenia. Wszystkie pagórki w około nas pokrywały wiatraki. W prawo i w lewo nie widziano nic innego tylko skrzy-

dła olbrzymie, poruszane mistralem (wiatr północno-zachodni) nad sosnami, i długi szereg małych osiołków, objuczonych worami, które miarowym krokiem pięły się w górę i schodziły z drogi, wiodącej do młyna; a cały tydzień rozkosz było słuchać trzasku biczów, łoskotu pytli, donośnego: naprzód! młynarczyków. — W niedzielę chodziliśmy do młynów gromadami. Młynarze traktowali nas winem mukatowem. Młynarki były piękne jak królowe, w koronkowych chusteczkach i złotych krzyżykach na szyi. Brałem zwykle swą piszczałkę, a do późnej nocy tańczono w takt jej dźwięków farandolę. Owe młyny, jak pan widzisz, przynosiły nam wesele i bogactwo.

Nieszczęściem — Francuzom w Paryżu przyszła myśl wybudowania parowca przy gościńcu Taraskońskim. „Wszystko piękne co nowe“, mówią u nas. Ludzie zaczęli wysyłać zboże do parowego młyna, a biedne wiatraki zostały bez zajęcia. Jakiś czas próbowały walczyć, ale para była silniejszą, więc jeden po drugim biedaczyna pokornie zamykał wrota. Nie widziano już małych osiołków; piękne młynarki posprzedawały złote krzyżyki, nie pito wina, nie tańczono farandoli! Mistral mógł dąć ile chciał: skrzydła nie poruszały się. – Później, jednego pięknego poranku, rozrzucono wszystkie niepotrzebne budynki wiatrakowe, by na tem miejscu zasadzić winogrona i oliwki.

Wszelako wśród gajów i winnic, jeden młyn trzymał się dobrze, obracał wartko skrzydła swoje na wzgórzu wprost nowego parowca. Był to wiatrak majstra Cornille, ten, z powodu którego gawędzimy obecnie.

Majster Cornille, stary mielnik z powołania, od lat sześćdziesięciu prawie oddychał pyłem mączanym, wdrożył się w swe rzemiosło, i nie mógł żyć bez niego. Budowa parowego młyna omal nie przywiodła go do utraty rozumu. Przez ośm dni biegał po wiosce jak szalony, gromadził ludzi koło siebie i krzyczał z całych sił, iż zatruć chcą Prowancję mąką z parowego młyna. „Nie chodźcie do nich — mówił — ci rozbójnicy do urobienia chleba posługują się parą, która jest wymysłem szatana, podczas gdy ja pracuję mistralem i tramontanem (wiatr północny), a te, jak wiadomo, są tchnieniem dobrego Boga“. Podobnie pięknych słów na pochwałę wiatraka, znajdował mnóstwo, ale nikt go nie słuchał.

Wówczas z wściekłości, stary zamknął się szczelnie w swoim młynie, żył sam, jak dzikie zwierzę. Nie chciał nawet trzymać przy sobie wnuczki Viwetty, 14-letniego dziecka, które po śmierci rodziców prócz dziadka nikogo nie miało na świecie. Biedna mała sama musiała pracować na życie i chodzić z folwarku na folwark, najmując się do żniwa i do zbioru oliwek. A jednak dziadek zdawał się ją bardzo kochać. Nieraz szedł 4 mile wśród skwaru słonecznego, aby ujrzeć ją na folwarku, gdzie pracowała; gdy przybył tam, patrzał na nią i płakał.

W okolicy sądzono, że stary młynarz oddalił od siebie Viwettę przez skąpstwo, i nie przynosiło mu to zaszczytu, iż pozwolił małej przechodzić z miejsca na miejsce, narażać się na gburowatość chłopców folwarcznych i wszelką nędzę, dotykającą służących. Również znajdowano nieprzyzwoitem, że człowiek taki, jak majster Cornille, dotąd szanowany, jak żebrak przebiegał ulice, boso, w dziurawej czapce i podartym kaftanie. W istocie w niedzielę, gdy widywaliśmy go wchodzącego do kościoła na mszę św., uczuwaliśmy rodzaj wstydu — my starzy, — a Cornille pojmował to doskonale i nie ośmielił się już nigdy usiąść w ławkach. Stawał zawsze w głębi kościoła, przy chrzcielnicy, z ubogimi.

W życiu majstra Cornille były pewne rzeczy niewyjaśnione. Oddawna nikt ze wsi nie dostarczał mu zboża, a mimo to skrzydła jego wiatraku obracały się, jak poprzednio. Wieczorem spotykano na drodze starego młynarza, który zwykle pędził przed sobą osła, objuczonego wielkiemi worami mąki.

— Dobry wieczór, majstrze Cornille! wołali do niego wieśniacy — mieliwo zatem idzie ciągle?

— Ciągle, moje dzieci — odpowiadał stary wesoło — Bogu dzięki! nie braknie nam zajęcia.

A gdy go zapytano, skąd u licha bierze tyle roboty -- kładł palec na ustach i odpowiadał poważnie: „Sza! pracuję na export!“ Nigdy więcej nie wyciągnięto. O wścibieniu nosa do młyna nie można było myśleć, nawet mała Viwetta wstęp tam miała wzbroniony.

Gdy przechodzono koło młyna, widziano drzwi zawsze zamknięte, wielkie skrzydła w obrocie, starego osła pasącego się na trawniku i dużego chudego kota, który leżąc na kraju okna, wygrzewał się w słońcu i spoglądał na przechodnia złośliwemi oczyma. Wszystko to tchnęło tajemnicą, dawało ludziom powód do plotek. Każdy na swój sposób tłumaczył i zgadywał sekret majstra Cornille, lecz głos ogólny utrzymywał, iż w starym młynie więcej jest worków z talarami, niż z mąką.

W końcu wszystko się odkryło:

Przygrywając młodzieży do tańca na flecie, jednego dnia spostrzegłem, że starszy mój chłopak i małaViwetta mają się ku sobie. W gruncie nie gniewałem się o to, gdyż mimo wszystkiego imię Cornilla było u nas w poważaniu, a wreszcie z przyjemnością byłbym widział tę ładną małą wróbliczkę, biegającą po moim domu; ale ponieważ nasi zakochani często przebywali razem, chciałem, obawiając się wypadku, prędko interesa ułożyć i w tym celu udałem się aż do młyna, aby z dziadkiem pomówić słów kilka. — Ach! Trzeba było widzieć w jaki sposób

ten stary czarownik mnie przyjął! Drzwi za żadną cenę nie chciał otworzyć. Przedłożyłem mu powód mego przybycia, jak mogłem przez dziurkę od klucza, a przez cały czas, gdy mówiłem, chude kocisko darło się, by szatan nad moją głową.

Stary nie dał mi dokończyć; w ostrych wyrazach kazał mi wracać do fletu — krzyczał, że jeźli chcę ożenić syna, powinien szukaćmu żony w parowym młynie. Można sobie wyobrazić, jak krew mi zawrzała na te obelżywe słowa, lecz zdołałem zapanować nad sobą i zostawiwszy starego głupca przy mlewie, wróciłem powiedzieć dzieciom o porażce. Biedne jagniątka nie chciały wierzyć temu! oboje prosili mnie jak o łaskę, bym pozwolił im pójść do młyna błagać dziadka. — Nie miałem odwagi odmówić i — zakochani poszli.

Właśnie wtedy, gdy pięli się pod górę, majster Cornille wyszedł. Drzwi były zamknięte na dwa spusty; ale stary poczciwiec zapomniał schować drabinę, natychmiast więc dzieci powzięły zamiar zajrzeć przez okno, by zobaczyć przynajmniej, co też znajdowało się w tym sławnym młynie...

Szczególna rzecz! — Izba do mielenia była pustą. Ani worka, ani ziarnka zboża, ani pyłku mąki na murze, ani na pytlu nie ujrzano. Ów miły zapach rozmiażdżonej pszenicy, który balsamiczną wonią napełnia młyny, również był nieobecny. Łożysko pokryła gruba warstwa kurzu, a wielki, chudy kot spał pod niem..

Izba dolna miała ten sam pozór opuszczenia i nędzy; lichy tapczan, kilka łachmanów, kawałek chleba na odłamku schodów, a dalej w kącie trzy lub cztery worki, przez których popękane otwory wyglądało rumowisko i biała glinka. Oto była tajemnica majstra Cornille!

Ten gips spacerował co wieczór po gościńcu, by uratować honor młyna i wmówić w ludzi, że tam produkują mąkę... Biedny młyn! Biedny Cornille! Już oddawna właściciele parowca odebrali mu praktykę. Skrzydła kręciły się ustawicznie, lecz poruszały kamień napróżno.

Dzieci wróciły z płaczem opowiedzieć mi co widziały... Słuchając ich, czułem dziwne ściskanie serca. Bez zwłoki pobiegłem do sąsiadów, wyłuszczyłem im rzecz w dwóch słowach i uradziliśmy, że zaraz trzeba zanieść do młyna Cornilla wszystko zboże, jakie posiadamy w śpichlerzach.

— Postanowiono, zrobiono. Cała wieś udała się w drogę: przybyliśmy na miejsce gromadnie z osłami objuczonemi zbożem? — prawdziwem zbożem! Młyn stał otworem... Przed drzwiami majster Cornille siedział na worze z gipsem i płakał, kryjąc twarz w namulonych dłoniach Wróciwszy spostrzegł zaraz, iż odgadnięto jego smutną tajemnicę. „Biada! biada! — rzekł — teraz nic mi nie pozostaję tylko śmierć!... Młyn jest zhańbiony!“ I łkał aż się serce krajało; przemawiał do młyna słodko, pieszczotliwie, dawał mu różne nazwy, jakby żyjącej osobie.

Wreszcie osły wstąpiły na platformę, a my wszyscy zaczęliśmy krzyczeć jak za dobrych czasów: „Hej! do młyna! do młyna! Hola majster Cornille! I zrzuciliśmy“ przed drzwiamwory, z których piękne czerwone ziarno wysypało się na ziemię.

Majster Cornille zrobił wielkie oczy!

Wziął ziarnka złociste starą swą, pooraną ręką, przyjrzał im się i rzekł płacząc i śmiejąc się zarazem. „Boże miłosierny — wszakże to zboże prawdziwe! dobre zboże! Pozwólce, że mu się przypatrzę!“ Potem obrócił się do nas. „Ach! wiedziałem, że przyjdziecie do mnie: wszyscy ci mielnicy z parowych młynów to złodzieje!“ Chcieliśmy zawieść go z tryumfem do wioski. „Nie, nie, moje dzieci — wymawiał się — trzeba przedewszystkiem nasycić mego biedaka — pomyślcie tylko, od jak dawna nie miał co na ząb położyć“.

Wszyscy ocieraliśmy łzy, patrząc na biednego starca, który kręcił się w lewo i w prawo, wypróżniał wory, pilnował kamienia, podczas, gdy ziarna trzeszczały i delikatny pyłek zbożowy unosił się przed drzwiami w powietrzu. Odtąd staraliśmy się zawsze, by staremu młynarzowi nie brakło roboty.

Jednego poranku jednak zmarł majster Cornille, a skrzydła naszego wiatraka przestały się kręcić tym razem już na zawsze. Po śmierci majstra nikt nie wszedł w jego ślady.

Alfons Daudet.

Z pism i książek.

Słownika języka polskiego, opracowanego pod redakcją Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedźwieckiego, wyszedł zeszyt drugi, obejmujący wyrazy od Blacha do Ciężyć. Będzie to najdokładniejz słowników języka polskiego, gdyż uwzględnione są w nim wszystkie słowa i wyrażenia nowe, jakich niema w dawniejszych słownikach.

* Z pięciu najświeższych tomików swej *Bibljoteki Mrówka* wypełnia trzy przekładami z obcych autorów, a dwa pracami oryginalnemi. Z przekładów mamy tutaj dwa dramaty Strindberga: „Pannę Julję“ i „Ojca“ w tłumaczeniu p. Suessera oraz dziewięć nowel Maupassanta, spolszczonych przez p. Bugla. Prace oryginalne wyszły z pod piór: Dr. Aleksego Kurejusza i p. Wandy Daleckiej.

Dr. Kurejusz w poważnem studjum *O kwestji kobiecej* złożył dowody wiedzy przyrodniczej, oczytania, oraz subtelności uczuć i myśli w ocenianiu zjawisk życiowych.

Nie siląc się na omówienie, choćby pobieżne, sympatycznej pracy Dr. K., niewielkiej co do rozmiarów, ale bogatej w treść, ograniczę się do przytoczenia ustępu o starych pannach, jako charakteryzującego lepiej od innych punkt widzenia autora.

„Wiadomo — pisze Dr. Kurcjusz — że zachodzą ze staropanieństwem zmiany psychiczne, lecz nie umiano ich dotąd sformułować. Naturalne instynkta macierzyńskie, nie znalazłszy celowego swego ujścia, podlegają chorobliwemu wypaczeniu, skierowując się nieraz z niezwykłą siłą na faworytów z grona zwierząt domowych. Lecz nie zawsze ze staropanieństwem następuje pewne estetyczne i etyczne obniżenie. Kobiety o silnej cielesnej organizacji oraz o głębszej, więcej złożonej organizacji duchowej nie dają się łatwo wyprowadzić z równowagi, nie łatwo zatracają piękno swej siły, pogodę duchową i dobroć. Przeżywając próbę abnegacji i zaparcia się siebie, związaną ze staropanieństwem, w tym okresie robią one jak gdyby ostatni krok ku wydoskonaleniu się. Te, które próbę staropanieństwa przenieść umieją, zdolne są wznosić się na wyżyny, gdzie wyobraźnią nawet trudno za niemi podążyć. Nie bacząc na to, że życie ich zazwyczaj bywa nieprzerwanem pasmem cichych tragedji, mają one dobrotliwy uśmiech dla tych nawet, którzy bliznami duszę ich upiększają. Charakter ich przybiera jakieś serafiezne znamiona, stają się jakby opiekuńczemi aniołami - pocieszycielami całej ludzkości, bynajmniej nie w retorycznem znaczeniu tego wyrazu“.

Z ośmiu pięknych obrazków p. Daleckiej, składających się na tomik „Mrówki“, połowę znają nasi Czytelnicy z kart „Tygodnia“. Perłą wśród czterech nieznanych jest „Nowy Abraham“. Zwłaszcza scena śmierci Lejzorka, najstarszego z ośmiorga dzieci ubogiego krawca damskiego w prowincjonalnem miasteczku, jest tak mistrzowsko odtworzona, że wywiera niemniej silne wrażenie od ostatnich chwil „Janka Muzykanta“ z Sienkiewiczowskiej noweli.

Dr. Fryderyk Papée: Wiadomość o archiwach węgierskich i materyale ich do dziejów polskich w drugiej połowie XV. wieku. Kraków. Nakładem akademii umiej. Skład główny w księgarni spółki wydawniczej polskiej 1898.

W podróży po Węgrzech w czasie od 28. września do końca października 1896 r. za subwencją akademji umiej. zapoznał się Dr. Fr. Papée z węgierskimi archiwami, przypuszczając, że w nich znajdzie materjały historyczne z XV w. do swej pracy o Kazimierzu Jagiellończyku i wogóle do dziejów polskich. Archiwa te dzieli Dr. P. na 4 główne grupy, mianowicie: publiczno-centralne w Budapeszcie, publiczne komitatowe, kościelne i miejskie, wreszcie prywatne, znakomitych rodzin. Z archiwów tych najważniejsze są publiczne, centralne i komitatowe; prywatne są wogóle mało znane, bo mało dostępne, a kościelne i miejskie defektowne, gdyż na nich najwięcej odbiła się niszcząca dłoń najezdców tureckich. Najezdcy ci wogóle nie zostawiali w spokoju zbiorów historycznych i z tego głównie powodu — źródła archiwalne węgierskie średniowieczne, tj. zpod klęski pod Mohaczem są bardzo szczupłe. Wiadomości w archiwach węgierskich, odnoszące się do historji polskiej także są mniej liczne, aniżeliby spodziewać się było można, przy czem wielką rolę odgrywa terytorjalne rozmieszczenie archiwów. W komitatach zachodnich wiadomości o Polsce prawie niema, w Siedmiogrodzie istnieją do XVI i XVII w., a w „grupie środkowej“ — przeważnie tylko na drodze z Polski do Węgier, mianowicie w miastach: Bardyjów, Preszów i Koszyce. Zebrany przez Dr. P. materjał do XV wieku rozświetla kandydaturę na tron węgierski Jana Ollbrachta wogóle jego działalność, jeszcze jako królewicza w latach 1484—1492. Dr. K. J. G.

Dr. Klemens Bąkowski: Historja miasta Krakowa w zarysie (Bibljoteka krakowska nr. 6) W Krakowie. Nakładem Tow. miłośników historji i zabytków Krakowa. W drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. 1898. Jestto nie tyle „Historja miasta Krakowa“, ile raczej chronologicznie zestawiony zbiór wiadomości, odnoszących się zarówno do miasta Krakowa, jak i do historji polskiej wogóle. Wśród tych wiadomości przeważają opisy uroczystości dworskich, np. koronacji i ślubów królów polskich; opisy ich pogrzebów, przyjęć posłów zagranicznych itp. Ponadto — tu i ówdzie tylko znajdujemy szkice, odnoszące się częściowo do losów dzisiejszych mieszczaństwa krakowskiego, przyczem autor zaznacza kilkakrotnie, że miasto podupadło od XVII w. począwszy nie tylko z powodu klęsk zewnętrznych i przeniesienia stolicy do Warszawy, ale także z powodu przewagi rządów szlacheckich. Wartości naukowej książka Dr. B. nie posiada i nie ma zresztą do tego pretensji: jestto mianowicie tylko szkic historyczne popularny, przeznaczony nie dla historyków, ale dla „miłośników historji i zabytków Krakowa“.

Dr. K. J. G.

Svetozor, tygodnik czeski, tego mniej więcej pokroju co nasz „Tygodnik Illustrowany“, umieścił nader pochlebną ocenę wystawionych w Pradze obrazów Jana Styki. P. K. M. Capak, autor artykułu oddaje tu pierwszeństwo trzem płótnom polskiego malarza przed innemi: Prokorini, wieszczbiącej upadek narodu izraelskiego, Chrystusowi z Golgoty i Kościuszce z Racławic.

W tymże numerze Svetozoru znajduje się przepysznie wykonana reprodukcja obrazu Tomasza Lisiewicza: Zgon piewcy. W odtworzeniu postaci z „Pana Tadeusza“ i „Dziadów“, otaczających śmiertelne łoże swego piewcy, technika czeska wykazała wszystkie swe niepoślednie zalety. Śliczną tu jest Zosia i ksiądz Robak, ale kto wie czy nie najśliczniej wyszły dziatki, zlatujące na Dziady po „dwa goreczycy ziarka...“

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.